

Andrycz to Andrycz

Bawiła w Krakowie przez jeden wieczór. Sięgnąłem więc w domowym archiwum po teczkę z nagłówkiem NINA ANDRYCZ i aż się zdziwiłem, że tak ostatnio napęczniała zdjęciami artystki i jej prasowymi wypowiedziami. O czym? - O kobietach, o mężczyznach, o miłości, o małżeństwie, o teatrze, o poezji, o życiu, o Cyraniewicz, o Mao Tse tungu... Na pytania górno- i dolnolotne, ciekawe czy podchwytili lub do znudzenia powtarzane (*dla czego wciąż królowe?*) - formułuje sądy śmiałe, oryginalne i dowcipne. Umie rozmawiać bardzo zajmująco i ze swadą - wiem z własnego doświadczenia. I nie ukrywam, że trzygodzinny wywiad, jakiego mi kiedyś udzieliła w salonie przy alei Róż, pozostał do dziś w pamięci jako jedna z najciekawszych przygód zawodow-towarzyskich.

Intrygująca kobieta, nikomu nieobojętna. Jedni ją podziwiają za dar słowa, prezencję i kreację sceniczną, inni wyrażają się sceptycznie o manierycznym *zaśpiewie* i niewspółczesnym stylu gry. Czy to wielka aktorka, czy atrakcyjna *aktorzyca*? Świetny warsztat rzemieślniczy czy charyzma gwiazdy? I cokolwiek się powie, wyjdzie na jedno: Nina Andrycz to wyjątkowa osobowość.

Wystąpiła w Krakowie znów jako Jej Wysokość. Do galerii swych koronowanych heroin dołąca jeszcze jedną, ale to nie była czynność matematyczna ani rutynowa. Bo artystka siebie kontroluje według przemyślanej koncepcji. W telewizyjnym spektaklu „Lustro”, którego rolę sama dla siebie napisała z nutą autobiograficzną, pada kwestia *krąg się zwięża*. Po skonstatowaniu tego faktu Andrycz zachowała się zuchwale: zagrała



bez insygniów królewskich Bąbę-Dziwo Jasnorzewskiej, Bąbkę w „Tangu” Mroźka, Żonę w „Krzestach” Ionesco i - horrendum! - Dulską Zapolskiej...

Powrotem na tron był pokazany u nas przed paru laty spektakl, w którym za jednym zamachem przedstawiła bodaj cztery monarsze sylwetki. Przed trzema dniami wkroczyła na scenę „Bagateli” jako władczyni brytyjskiego imperium, Elżbieta I, która odważnie - tak, jak żyła i rządziła przez 40 lat - przygotowuje się na śmierć. Ostatnim życzeniem umierającej jest spotkać się z *księciem poetów* - Szekspirem i nakłonić go do napisania o niej dramatu. Sztuka angielskiej pisarki Esther Vilar „Królowa i Szekspir” została napisana, wyreżyserowana, wystawiona i zagrana tak, że kronikarz wszystkich ponumerowanych Henryków i Ryszardów nie ma nic do powiedzenia, a kilkuosobowa obsada zdaje się nie istnieć w obliczu Wielkiej Indywidualistki - nie tylko z powodu nikłego tekstu, ale także braku osobistego ciężaru gatunkowego i kwalifikacji partnerskich.

Jaka to efektowna pani! Po społu Nina Andrycz i Elżbieta

Pierwsza. W centralnym punkcie sztuki i w centralnym miejscu sceny - przy tronie. W diademie na rudej peruce, we wspaniałej białozłocistej szacie, z berłem w ręku. *Jak wyglądam?* - to pytanie z monologu sztuki, ale zadawane nie towarzyszącemu zespołowi aktorów, lecz niedwuznacznie i frontalnie kierowane do widowni. Pięknie, majestatem, z tym samym błyskiem w oku, co w dawnych latach (to z teatralnego tekstu). Publiczność krakowska jest wstrzemięzliwa, więc przez salę przebiega tylko lekki szmer, który dopiero po zakończeniu spektaklu przemieni się w falę braw klaskanych na stojąco.

Trzy sceny zrobiły na mnie szczególnie wrażenie. To sarkastyczny „dialog” z ludzkim szkieletem, następnie hołd dumnej królowej oddany na kłęczkach Szekspirowi (*królowie rządzą ciałami ludzi, łącznie z ich głowami, a poeci - duszami*) oraz moment zgonu z odpływem wszelkich sił i woli. Elżbieta despotycznie wykrzykuje rozkazy lub raptem robi zwykłym tonem potoczne uwagi, jest złośliwa i cyniczna, ale i mądra, zapewne nieznośna i nieszczęśli-

wa - Nina Andrycz pokazuje to skalę szerokim gestem, lecz zarazem prościej i zwyczajniej niż niegdyś. Jest tak, jakby syntetyzowała teraz wszystkie poprzednie wcielenia królewskie - już nie romantycznie, już bez patetycznej emfazy, bliżej psychologicznej prawdy.

Ale rzecz przedziwna: objawy chorobliwych słabości i starości bohaterki sztuki, tak ekspresyjnie wygrywane przez aktorkę, wydają się w jakimś stopniu sztuczne i udawane, nim nastąpi triumfalny powrót do postaci władczej. Bo to podstawowe emploi pani Niny, mimo nawet udanych prób jego zmiany. Tak jest postrzegana. A dlaczego? A dlatego, że to wynika z jej własnego charakteru, zdecydowania i uporu, inteligencji i namiętności oraz oczywiście z typu urody o „gotyckich” łukach brwi, ze sposobu trzymania głowy, z sylwetki i postawy, z poczucia efektu i elegancji (tu: umiejętność noszenia kostiumu), a nawet - przepraszam - z kolei losu i problemów wieku. Elżbieta nie pragnęła dostania się do Raju, bo miała go na ziemi; powojenna sytuacja Niny Andrycz w kraju szarym i siemiężnym była też wyjątkowo barwna. Elżbieta chciała upamiętnienia swej sławy piórem poety - Nina Andrycz sama ją utrwała tomikami własnych wierszy.

Wyniosła i niedostępna prywatnie? Nieprawda. Potrafi być bezpośrednia, zna wartość żartu i po spektaklu, dźwigany jedyną rolą-gigantem, nie ukrywa normalnego zmęczenia. W garderobie rozdawała jeszcze autografy - bez pozy, prosząc tylko: *Niech pan nie fotografuje mnie z bliska, mam rozmazaną szminkę i splakane oczy*.

WŁADYSŁAW CYBULSKI